Rozmaitości

DNIA 4. KWIETNIA Ner 14. 1835 ROKU.

OSTATNI DOWÓDZCA
ROZBOJNIKOW WE WŁOSZECH.

Przekład z francuzkiego P. Méry.

(Dokończenie.)

Oficér, który był moim *cicerone*, wziął mię na bok, odprowadził w kąt galeryi, i rzekł do mnie: »Muszę panu objaśnić, jak się to wszystko stało. Gasperoni, sprzykrzywszy sobie w koniec życie, jakie od lat pietnastu prowadził, poszedł pewnego dnia spowiadać się do wielebnego plebana, gdzie wyznał, że już chce porzucić rzemiosło rozbójnicze. Ksiądz przyrzekł mu, że w téj mierze do Ojca Sgo napisze i wyjedna mu przebaczenie, i prawo powrócenia znowu do społeczeństwa ludzi. Gasperoni dołożył do tego szczególny warunek, aby i towarzysze jego w tém ułaskawieniu objęci zostali. Odtąd zaczęły się wzajemne układy. Rządowi naszemu wiele zależało na pozbyciu się tych bandytów, którzy na drodze do Neapolu rabowali, zabijali podróżnych, nakładali kontrybucije, tysiącznym zbytkowali sposobem. Wyprawiono na nich żołniérzy; lecz ci zamiast się bić, pili z bandytami. Oprócz tego wieśniacy, w walkach przeciw żołniérzom, dopomagali rozbójnikom, we wszystkiém składali jednę z nimi społeczność, zaco otrzymywali część łupów, zdobytych na podróżnych. Tylko dragonom można było zawiérzyć, ale przeciw téj strasznéj jeździe góry były dla rozbójników wyborną kryjówką. Dla tego bez długich korowodów przystąpiono do układów z Gasperonim; duchowny przyjął pośrednictwo, i zaniósł rozbójnikowi następujące postanowienie: »Ojciec »Sty przyrzéka Gasperoniego zostawić przy »życiu; grzésznik natychmiast niech odprawi »chrześcijańską pokutę, a wszystko mu prze»baczoném będzie; lecz powinien natychmiast »jako więzień stawić się z całą swoją bandą »w cytadeli Civita-Vechia.« Chytry Gasperoni wahał się długo; ksiądz całego używał wpływu, aby go nakłonił; powiadają nawet, że mu przyrzekł, jeszcze czynniéj wstawić się za nim, i zupełne mu przebaczenie wyjednać, jeżeliby Ojcu Świętemu posłusznym być zechciał, i że niezawodnie, skoro w chrześcijańskiéj pokorze i posłuszeństwie podda się rozkazowi, drzwi więzienia zostaną mu kiedyś otwarte. Gasperoni, zniewolony i przynaglony wpływem duchownego, czując z dniem każdym coraz więcéj z przesycenia wstrętu do życia zbrodniczego, skłonił się nakoniec, na wydanie się w ręce rządu. Towarzysze jego, oddawna nawykli słuchać swego wodza, towarzyszyli z chęcią mu do więzienia. Od kilka już lat oczekują na ułaskawienie, ale co do mnie, nie sądzę, aby takowe kiedy otrzymać mogli. Z resztą Ojciec Święty, co przyrzekł, dotrzymał; ale też na tém i pozostanie, boto zbyt niebezpieczni ludzie!«

Zbliżyłem się znowu do Gasperoniego, który nie zmieniał swego stanowiska. Nie ma on żadnego podobieństwa z owymi rozbójnikami, z jakiemi występują mierni autorowie na teatrach naszych. Twarz jego łagodna, rysy najregularniejsze, usmiéch miły, i myślącego człowieka znamienujący. Włos jego czarny i gładki, z tyłu długo i niedbale wstążką związany. Mówi i opowiada z prostoduszną szczérotą, słowa płyną mu z ust niedbale; nadzwyczajnie jest oszczędny w jestach, czém się różni od wszystkich Włochów, którzy ich zbytecznie używają; tylko wtedy, gdy jakie śmiałe zapytanie, które się mu nie

podoba, wymoże na nim odpowiedź, tylko wtedy jawi się w nim nadzwyczajny człowiek; twarz jego staje się groźną, oko do walki wzywające, warga drży, głos nabiéra mocy, z ust płyną dobitne, ostro malujące wyrazy; wtedy widzisz w nim zbójcę o cztérdziestu pięciu morderstwach.

»Powiedź mi, jak ci rzetelnie po nazwisku?« zapytałem go. »Powiadano mi, że się Bordone nazywasz.«

»To mój przydomek w górach; moje prawdziwe nazwisko Antonio Gasperoni.«

»Wielkiegoś nabył imienia! we Włoszech mówią o tobie jak o Katylinie, jak o Spartaku, jak o innych sławnych twoich współziomkach, którzy Rzymowi wydali wojnę...«

Uśmiéchnął się i pokłonił głową.

»Cóż cię do tego rzemiosła przywiodło, Gasperoni?«

»Zwada w Neapolu!«

»Zwada! tylko zwada? bardzo mało; za lichyto powód do zerwaniu z całą społecznością.«

»Ba, ale w téj zwadzie zabiłem mego wroga.«

»Ach, to co innego. Jak długo się bawiłeś swojém rzemiosłem?«

»Lat ośmnaście.«

»Czy masz jakie rany?«

»Mam ich pełno.«

»Więc się biłeś często?«

»O często, i bardzo często!«

»Z papiezkiémi żołniérzami?«

»Z żołniérzami! (zrobił wzgardliwą minę) nie, z dragonami.«

»Słyszałem o twojéj przygodzie w chacie węglarza (tu mu zaiskrzyły się oczy, a twarz zasępiła). Jeżeliś łaskaw, opowiedź mi to zdarzenie; wielce obowiązanym ci będę.«

Cała banda otoczyła nas w koło, aby usłyszéć okropną powieść z ust własnego swego dowódzcy.

»Było ich siedemnastu,« zaczął Gasperoni, »siedemnastu węglarzy; i ci przedali mię żołniérzom papiezkim. Z początku miałem ich za przyjaciół; jedliśmy i pili spokojnie pod ich dachem. Nigdym nie stawiał czatów, byłoto moim wielkim błędem, mój panie, zawsze sobie wyobrażałem, że ci węglarze sąto poczciwi ludzie, na których się spuścić można. Otoż, patrzcie! o samej północy słyszę tupot żołniérzy; ten tupot znało ucho moje na milę! »Zdradzeniśmy bracia! zdradzeni! do broni!« Chwyciliśmy za broń. Papiezcy ledwie na dwadzieścia kroków byli już od chaty; nas było dwunastu, ich trzydziestu. Pozdrowiwszy ich gęstym wystrzałem z karabinów, utorowaliśmy sobie drogę; ja sam jeden cztérech trupem położyłem, raniono mię w ramię; patrzcie, oto jeszcze blizna. Papiezcy musieli nas puścić; ani jednego nie wzięli, ani jeden nie był ubity. Niegodziwie strzélają. Ba, gdybyto byli dragoni, jużby po nas było. Ale dopiéro, proszę posłuchać, zaczyna się najciekawsza historyja. We trzy dni potém, podczas nocy, zeszliśmy z gór naszych, podsunąłem się z moimi ludźmi pod chatę węglarzy; spali niegodziwcy! Głos, ze środka zawołał: »Któż tam kołace?« — »Otwórzcie,« odpowiadamy, »otwórzcie, to my, dobrzy wasi przyjaciele, żołniérze!« Jeden z węglarzy wrzasnął: »Nie otwiérajcie, przez Boga, to Gasperoni!« Pieniąc się od złości, wybijam drzwi kolbą; wpadamy i mordujemy wszystkich. Alboż to nie sprawiedliwie, jako? — Wszyscy oni zasłużyli na śmierć, ci niegodziwi bandyci, za swoję zdradę! Liczę trupy; ale ich tylko cztérnaście. Przetrząsam całą chatę, zaglądam w najmniéjszy zakątek — na próżno; trzech uciekło, zemsta przez pół tylko spełniona! Z wściekłości zaszły mi łzami oczy. »Już ja ich znajdę! o znajdę!« wołałem do moich towarzyszy. Całe Włochy byłbym przeszukał, byle ich tylko wynaleźć. — We dwa lata potém, jednego wieczora wchodzimy do małéj samotnéj chaty, stojącéj tuż nad morzem, aby ugasić pragnienie. Byliśmy tam dobrze znani. Zastaliśmy kilku wieśniaków, siedzących przy stole. Mam ja bystre oko, umiém wnet odkryć wroga, i — widzę naszych trzech węglarzy, przyczajonych w kącie. »Ha! jakżem się ucieszył! Mam was przecież!« rzekłem sam do siebie. »Pójdźcie no tu, co się tam w kącie kryjecie? niech no wam w oczy zajrzę. Jakież z was trusie!« Zadrżeli i zbledli, jak ściana, ci trzej bandyci! »Długo ja się was, długo naszukałem!« rzekłem do nich, oto z takim, jak i teraz uśmiéchem. Padli mi do nóg i ze łzami błagali o przebaczenie. Dałem znak memu exekutorowi; przyłożył im kolejno lufę pistoletu do piersi, już ich nie było. Co do mnie, w bitwie tylko krew przeléwam; nikogom jeszcze bez walki

nie zabił; nikogo, nawet żadnego z tych nędznych węglarzy, którzy mię zaprzedali.«

Wszyscy rozbójnicy o prawdzie tego zdarzenia zaświadczyli skinieniem głowy i ręki; byłto certyfikat pantomimiczny, dany w znak o moralności ich wielkiego wodza.

»Jednakże na świecie różne rzeczy mówią o tobie, Gasperoni;« rzekłem do niego.

»O wiém to, wiém; tysiąc bajek o mnie usłyszysz...«

»A córkaż onego Anglika, który cenę za twoję głowę ogłosił?...«

»To wierutne kłamstwo!« przerywając mi zawołał z uniesieniem;» nigdym ja kobiét zabijać nie kazał.«

»Aleś przecie je czasem z sobą w góry uprowadzał?« Uśmiéchnął się na to pytanie i przybrał minę szczęśliwego gładysza, który z jakąś wstrzemięzliwością milczy, ażeby z jego milczenia więcéj domyśléć się można.

Żałujesz zapewne niepodległego życia, któreś z własnéj woli porzucił? Gdyby Ojciec Święty udzielił ci przebaczenia, jakżebyś użył twojéj wolności?«

»Żyłbym jak poczciwy, porządny człowiek, poszedłbym do Neapolu i pracował tam.«

»Ciężkoby ci to przyszło Gasperoni; przyzwyczaiłeś się do wielu rzeczy...

Nie, nie, mój panie; życie w górach już mi obrzydło. Przez lat siedmnaście tak żyłem; młodemu trudy i biédy przyjemnémi; ale teraz zaczynam się starzéć, blizny zaczynają dolégać, spoczynek mi potrzebny.«

»Dobrze, ty tak myślisz, ale czybyś mógł zaręczyć za wszystkich swoich towarzyszy?«

»Za wszystkich!«

»A jestże tutaj ten twój... exekutor, ten, który na twój karb zabijał?«

»Jest, oto stoi!«

Gdyby mi wąż był po ręce prześliznął, nie byłbym się więcéj wzdrygnął i przestraszył. Ten obrzydły oprawca stał tuż przy mnie z lewego boku, i swojém ramieniem ociérał się o mnie. Zajęty Gasperonim i tém co mówił, nie uważałem dotąd na wykonawcę jego wyroków. Nigdy on nie odstępuje pana swego; jak niegdyś w górach, zawsze on przy nim na jawie i we śnie, jakby i tu w więzieniu oczekiwał na wykonanie jakiego krwawego wyroku. Mojém zdaniem, że między wszystkiémi ludzkiémi istotami, nie można nic wyszukać szkaradniéjszego nad widok tego łotra. Gnuśna, tępa i zbrodnicza głupota, wyryta na jego długiéj, chudéj, wyżółkłéj twarzy; oko jego obciągnięte trupią błoną, jak morskiego orła; z nieustanném wyszczérzeniem zębów migał się zbójecki uśmiéch po twarzy jego; a z jego spojrzenia wyglądała strętwiała i lodowata surowość. Kiedym go mojém okiem badał, natenczas on z szczególniéjszą uwagą oglądał guziki mego surduta, jak gdyby je nieustannie i zwolna po jednemu przeliczał.

»Jak się nazywasz?« zapytałem, aby go od tego dziwnego śledztwa odciągnąć.

Lecz on został w swojéj zgiętéj postawie; oko jego nie żądało sobie nawet pracy, aby się ku memu podniosło; zdawało się, że i warg nie otworzywszy, wyrzekł z chrapliwéj piersi to słowo: »Geronimo.«

»Tyśto!« mówiłem daléj, »coś urząd kata sprawował?«

»Ja, mój panie!« zawsze trzymając oczy w moich guzikach.

»I wielużeś zabił, Geronimo?«

»A któż tam o tém pamięta! Ile mi razy kazano: »Zabij! *(ammazza)*, zabiłem.«

»Wątpię bardzo, czy ty uzyskasz przebaczenie Ojca Świętego!«

Cała banda rozśmiała się głośno i poklasnęła mojéj uwadze. Geronimo był na to obojętnym, i nie przestawał liczać guzików przy moim surducie.

Obróciłem się ku drugim: »Zdaje się,« rzekłem do nich, »żeście weseli i wcale nie chudzi w waszém więzieniu?«

Jeden z bandytów, z ogromnym brzuchem, co między bandytami rzadko widzieć się zdarza, odpowiedział mi, że Ojciec Święty bardzo dobrze ich utrzymuje. »Dają nam na żywność ryby i mięso, same przysmaczki,« mówił mi, »słowem, czego nam się zechce; pobiéramy codziennie po dwa *paule* (9 sr. gr.).

»Co! wszakże wy tu lepiéj żyjecie, niżeli połowa Włoch, niżeli wszyscy żebracy w Rzymskiém Państwie. Więc dostajecie dwa *paule* codziennie?«

»Tak jest, mój panie!« ozwał się Gasperoni, »i w tém rząd bardzo sobie politycznie postąpił. Ci, którzy naszém rzemiosłem się trudnią, albo takowém trudnić się zamiar mają, wiedzą, że jeżeli jako więźniowie oddają się zwierzchności, powinni za to dostać dobre

jadło, wygodną pościel, i pieniądze prócz tego; takie rzeczy żyjąc w górach nie łatwo znaleźć się dają, a to do wydania się zwierzchności, może nie jednemu dać pochętkę, zwłaszcza gdy mu się sprzykrzy i obrzydzi nieustanne czatowanie na publicznych gościncach. Do tych zysków policzyć należy i podarki od podróżnych.«

»Więc chwała Bogu! cieszy mię to, że wam się dobrze wszystkim powodzi!«

Mój przewodnik potwierdził to wszystko, com się właśnie o spaniałomyślności papiéża dowiedział. Nim opuściłem więzienie, zastanowiłem się z uwagą nad każdym z osobna z całéj bandy; lecz żadnéj malowniczéj między niémi nie znalazłem twarzy, prócz dowódzcy, i jego kata; reszta miała twarze tak gminne, tak prozaiczne, że łatwo miałbyś ich za poczciwców, którzy padli ofiarą jakiego policyjnego prześladowania. Zaiste nie wiém, czy oni kiedykolwiek nosili strój malowniczy, w jaki zwykle poeci artystyczni ubiérają neapolitańskich bandytów; ubior ich w więzieniu jest podobny do pospolitego ubioru włoskich rzemieślników: spodnie szare, brunatne kamizelki, niebieskie pończochy, odejmują całą poetyczność ich rzemiosła. Żaden nie miał w sobie owéj malownéj postawy, tak podziwianéj w rysunkach; patrzyli oni bez najmniéjszego wyrazu przypomnienia na jasne niebo, na rzymski powietrzokrąg, na miły promień wiosennego słońca, który łuczaste gzymsy pozłacał i, jak stary z gór przyjaciel do sklepionych więzień zaglądał. Dźwięki morza, przegrywające u podnóżów cytadeli, nie budziły marzeń w ich duszy; zdawali się być obojętnymi na wszystko, lecz nie upadali na umyśle, i najmniejszego nie wydali moralnego znaku nadziei lub rozpaczy; palili tytoń z uśmiechliwą miną, z rękoma na krzyż założonémi, i pogodném czołem. Taki był obraz téj bandy, która lat pietnaście była postrachem bagień pontyńskich, która rozpraszała żołniérzy papiézkich, która z dragonami staczała bitwy, i tylu zrabowała Anglików. Będą oni, jak się domyślać należy, czekali w cytadeli na pardon dopóty, aż go śmierć im przyniesie; a tak wraz z nimi zaginie ostatnia rozbójników banda we Włoszech.

Wprawdzie zasłyszysz jeszcze o drobnych psotach przez włóczęgów między Witerbo a Ronciglione, między Rzymem a Terracina popełnionych; ale o porządnie uorganizowanéj bandzie rozbójników, mającéj swego wodza na czele, swoje mundury i chorągwie, już nie usłyszysz. Szczęściem to jest dla podróżującéj ludzkości, ale dla artysty wielkiém nieszczęściem! Kraina rzymska bez bandytów jest jak syryjska puszcza bez karawany. Tak wszędzie biédna poezyja umiéra; moralność ją i cywilizacyja zabija. Tylko Wschód nam jeszcze pozostaje; ale i tam — niestety! Turcy wdziéwają niebieskie surduty, Bawarowi przypada Peryklesa puścizna, a sułtan — nosi palone bóty, i elegancki paryzki kapelusz.

S Z Y L L E R
W AMERYCE PÓŁNOCNÉJ.

Kiedy na wystawienie pomnika F. Szyllerowi z wszystkich prawie części Europy znaczne składki wpływają; kiedy nawet w stronach lodowatego morza, duch tego wielkiego poety taje serca ku temuż celowi;*) nie uczynimy zapewnie od rzeczy, jeżeli tu po krótce namienimy zdanie, któreśmy o nimże w północno-amerykańskim dzienniku: *Reviev* (1834, m. czerw.) wyczytali:

»Poeta (mówi tenże dziennik) jest kapłanem natury, w jéj tajemniczéj księdze czyta on jéj święte czcionki, słyszy uderzenia jéj tętna, podziela jéj uczucia!«

»On to pieściwą muzyką błoży i kształci serce człowiecze; on, jak ona mamka spiéwem swoim wpół uspionéj duszy dziecięcia, obudza w narodzie piérwsze, tęskliwe przeczucie uznania bytu swego, jemu są wiadome najgłębsze tajniki życia duszy; on wciska się w siedlisko, w źródło uczuć; on je wywołuje, wykłada, rozcienia, oznacza; on jest badaczem i tłumaczem człowieczego ducha.«

»Co tylko twórczy wié jenijusz, to wszystko staje się dobrem powszechném. Jenijusz tak zwanych ścisłych nauk, nie zawsze zdoła dać w powszechny pożytek co z kopalni poszukiwań swoich mozolnie na widnią wy-

*) O wpływie znacznych sum donosiły wszystkie publiczne pisma; najnowsze mówią: że z Petersburga przysłano 1,700 złr. srébr., między innémi sama Cesarzowa Jejmość dała 1000 rubl. as., a nawet z Archangelu nadeszły ku temu celowi nie małe kwoty. W Węgrzech zbiera składki hrabina Czaki-Skerlezy.

dobył; wszystkie umiejętności w porównaniu z wieszczą poezyją są tajemnicami nie wielu z powołania. Do podziału tego wszystkiego, co wieszczy poeta czuł, płakał, ciérpiał, czém się smucił, radował, zachwycał, unosił; każdy ma prawo, bo każdy ma w nim swoich uczuć zastępcę. Prawy poeta jest wyrzecznikiem prawdy; wyłania ją z łona swojego, jak wyłania wiewiórka jądro ze skorupy.«

»Że samym tylko wdziękom i saméj piękności hołd składa; że wszystko, co z jego ust zadźwięczy, nasze ucho i serce błogiémi tony głaszcze; wynika ztąd, że sama prawda niczém innèm, jak tylko rodzimą, idealną, z nieba zarodną pięknością, która się w duszy poety rozpromienia, i w rozmaite kształty uślicznia. Jemu prawda **piérwszą**, piękność **drugą**; jemu prawda **treścią**, piękność **oprawą**, formą. Jeżeli poeta za samą tylko ładną ubiega się powierzchownością, zrzeka się zwnioślejszego powołania swego, zchodzi ze szczytnego stopnia wieszcza, gdzie go promienista bogów otęczała łuna, i staje w nizkim szeregu wyuczonych umników, tychto smysłowych artystów, sztukmistrzów, którzy tylko dla pozornego powabu, dla wygodnego życia smysłowo pracują, i w których piersi Bóg nie mieszka.«

Cui vim natura negavit
Sudet multum frustraque laboret.

»Jeżeli zwrócimy baczność naszę na te tak zwane sztuki nadobne, jakiemi są poezyja, malarstwo i muzyka; kiedy je między sobą porównamy; uwarunkujemy ich różnicę instrumentem i materyjałem, których do celu swego używają. Farba z natury swojéj jest ograniczającą, ton rozpływającym; piérwsza, w dziedzinie swojéj za ciasno miejsce biorąca; druga, iż tak powiémy, nad przestrzeń w świat czasu bujająca.«

»Między témi dwoma żywiołami umnictwa stoi po środku słowo; które jest zarazem i farbą i tonem. Słowo jest dla poety instrumentem, język wysłańcem i zwierciadłem umysłu; ciałem duszy i myśli: tak rozciągliwym jak ton, a tak mocno okończającym, jak farba; język jest materyjałem poety, którym zarazem i muzycznie spiéwa i maluje. Słowo jest cień, zawsze ze zdroju światła płynący. Nié ma słowa bez znaczenia, bo znaczenie jest znakiem znania, które w duchu w tymto zdroju światła mieszka; jest język powszechném narzędziem duchowego udzielania się. Poeta, który w rymach swoich sam tylko dźwięk i brzęk wydaje, nie jest poetą; on tylko nieszczęśliwy muzyk; a czémże są postacie malarza bez ruchu, bez rytmu, bez harmonii? czém, bez idei?...«

»Czego umnik tono-władny za wiele, za rozbujało w swoich dziełach daje, tego daje malarz za skąpo, za mało; on może tylko jednę scenę, a najwięcéj szereg scen i grup postawić; muzyk daje *volumen* wewnętrznych widów (uczuć); poeta zaś całe życie człowiecze. Co on wyrzeczy, wymówi, jest duszą rzeczy, jest wyznaniem i odwieczną prawdą rodzaju ludzkiego, który on z grobu wywołuje i na nowo stwarza. Materyjał, który w swoję dłoń chwyci, był już wprawdzie, ale od pochwytu dłoni jego zależy, jakie piętno na nowo weźmie. Gnuśne, martwe, zagrzebane, powstaje, ożywia się, wchodzi między żyjących i przemawia życiem do życia.«

»Im więcéj poeta jest człowiekiem, tém więcéj jest poetą; wszystko, co ludzkie, co człowiecze, co się takiém nazywa; musi mieszkać w piersi poety! Każdy inny umnik może mieć jedno-stronne ukształcenie, i może niém w okresie swoim, wiele względom, a nawet wszystkim, zadość uczynić; poeta winien w sobie połączyć, zjednoczyć wszystkie rodzaje umnictwa i przeżyć wszelkie koleje człowieczego życia, w niém się zamknąć i z niego wychodzić. Zadanie najtrudniéjsze! Rozwiązał je **Fryderyk Szyller**. Już w piérwszém rozmaganiu się muzy swojéj pisał dla całego świata, jego stanowisko było wysokie i powszechne; język jego bohatérów: bądź Karola Moora, tegoto syna zdziczałéj romantyki niemieckiéj, bądź książęcia niw hysperyjskich z jego kosmopolitycznem przyjacielem, bądź oswobodziciela gór szwajcarskich, był zawsze apellacyją do całéj ludzkości.«

Genium est, quod una genitur nobiscum, in cujus tutela vivimus nati. Ingenium ingenitum est.

Tak tedy dzieła Fryderyka Szyllera obiegły już całą kulę ziemską, już im słońce nie zachodzi! — Jestto skutkiem tworczego uroku jenijuszu, który wszystkie narody ogarnia,

obramienia do swéj piersi tuli, w swoję pierś wprowadzał! żałować zaiste należy, że kiedy utwory Fryderyka Szyllera już się milijonom serc przystępnémi stały, kiedy je wszystkie oświécone narody Europy w swój język przelały; myśmy ich dotąd całkiem jeszcze naszém sławiańskiém, naszém energijném słowem dla siebie nie wzięli, i w powszechny pożytek narodu nie przenieśli, jakby już to słowo nasze wewnątrz znyło, zewnątrz zniszczało, i ku tému przydatném nie było; jakbyśmy o to niedbali!

ROSSYJANIE
W SIEDMNASTYM WIEKU.

Samuel Kazimiérz Maszkiewicz, Polak, rodem z Litwy, bawiący w Moskwie, w czasach Dymitra Fałszywego, zachował nam w swoich Pamiętnikach znanych w części z pism J. U. Niemcewicza, w części przez Rossyjan w czasie obecnym odkrytych i tłumaczonych, wiele ciekawych szczegułów o Rossyjanach wieku 17go, i z tych niektóre, mniéj znane czytelnikom naszym, wyjmujemy. O weselach znakomitszych Rossyjan, pisząc Maszkiewicz, następujące przywodzi zwyczaje: Mężczyzni na weselach tych w osobnéj siadali izbie, a w osobnéj niewiasty. Zastawiano mnóstwo potraw, wszystkie z sosami, które na półmiskach roznoszono. Podczas, gdy jedne potrawę goście jedli, drugie trzymali słudzy na ręku. Muzyka nie grywała na ucztach weselnych; Rossyjanie bowiem byli tego zdania, że przyzwoitemu człowiekowi tańczyć nie przystoi. »Jakaż w tém może być radość,« mawiali, »uwijać się po pokoju, jak gdyby człowiek co zgubił, lub kręcić się, jak opętany. Rzecz ta dla błazna przyzwoita, ażeby drugich jestami swojemi zabawiał.« Jakoż sami poważnie ucztując, obyczajem narodów wschodnich, miewali trefnisiów, którzy ich żartami swojemi zabawiali; lub niewiasty dworskie rozpowiadały im powieści gminne, albo spiéwały rubaszne pieśni weselne. Ten wstręt Rossyjan od tańca przypisuje Maszkiewicz ich ówczasowemu nietowarzyskiemu życiu; wykluczając bowiem niewiasty ze społeczeństwa swojego, sami tylko żyli i sami się zabawiali. Kobiétom nie było wolno pokazywać się publicznie, wyjąwszy w cerkwi; lecz majętniejsi bojarowie i temu zapobiegając, osobne cerkwie dla żon przy swoich grodach budowali. Niewiasty mieszkały w tylnéj części dworu, w gmachach wysokiemi murami obwiedzionych, od których klucze sam pan domu przechowywał. Obcym mężczyznom wzbronny był wstęp do komnat niewieścich i tylko, gdy pan domu chciał uczcić kogo z męzkich gości swoich, wtedy żonę lub córkę przyprowadzał do izby gościnnéj, i gość chcąc grzeczność okazać, musiał je ucałować. Czerwienienie twarzy było w wieku 17tym zwyczajem u kobiét rossyjskich, i niewiasta poczytywała to za wielką hańbę, gdyby z twarzą niepomalowaną wystąpiła na widok publiczny. Stadła małżeńskie rodzice lub krewni kojarzyli, częstokroć bez wiedzy młodych ludzi, którzy nie raz nie widzieli się piérwéj, aż w dniu ślubu. Wolno jednak było narzeczonéj popatrzyć przed ślubem na narzeczonego; mogła go nawet pocałować, ale nie wolno jéj było ani słowa do niego przemówić.

Dłużnik na terminie należytości nie płacący, powoływany bywał do sądu. Gdy przyznawszy się do winy swojéj, tłumaczył się niemożnością płacenia, sędzia kazał go wyprowadzić przed dóm sądowy i kijmy obić, którąto karę ponawiano codziennie, dopokąd dłużnik należytości nie uiścił. Mógł do kary téj stawić zastępcę za siebie, lecz takiego musiał drogo opłacić.

Mieszkańcy Moskwy prowadzili w wieku 17tym nader wstrzemięźliwe życia i to tak bogaci, jak najubożsi. Pijaństwo było surowo zakazane; nikomu nie było wolno szynkować wódką lub winem i nawet, oprócz bojarów, innym niższego stanu osobom wzbronno było trudnić się wyrabianiem mocnych trunków. Człowiek, który się upił publicznie, za piérwszym razem bywał sadzony do więzienia, gdzie kilka tygodni pokutować musiał; drugą razą na gorącym uczynku schwytany, na dłuższy czas bywał zamykany, oprowadzano go dla wstydu po ulicach miasta, a czasem nawet knutami bito; za trzecim zawodem już surowiéj karany bywał, już kilkakrotnie dostawał knuty, a gdy to wszystko nie pomogło i obwiniony o skłonność do trunków upijał się ciągle, natenczas gdy przekonano się, że bez poprawy trwał w błędzie, bywał do śmierci więziony, ażeby publicznego nie robił zgorszenia.

Naród mający o moralności tak instynktowe, rzec można, pojęcie, karzący tak surowo zbytkowanie w trunkach, i niszczenie tym sposobem tyle potrzebnych społeczeństwu sił fizycznych, na władze umysłowe najmniejszego nie dawał baczenia; przeciwnie niszczył je, utrzymując w dowolnéj martwocie i uspieniu. Naród rossyjski bynamniéj się naukami nie zajmował; i owszem były one zakazane w Moskwie. Pisze Maszkiewicz, że pod panowaniem cara Iwana jeden z kupców polskich, mający pozwolenie jeżdżenia z towarami do Rossyi, przywiózł raz był pakę kalendarzów do Moskwy. Car, dowiedziawszy się o tém, kazał te książki przynieść do siebie. Rossyjanom bardzo się mądrémi wydawały kalendarze polskie; sam car nawet ani słowa w nich zrozumieć nie mógł. W obawie więc, ażeby lud niebezpieczną nie zaraził się nauką, wyprawił

Auto da Fé z przywiezionémi kalendarzami i spalić je rozkazał, zapłaciwszy za nie kupcowi. Wszakże tak dalece zabronione było wszelkie zajmowanie się naukami, że chcący jawnie to czynić, wystawiał się na największe niebezpieczeństwo i pewien bojar (jak pisze Maszkiewicz), lubiący bardzo obce języki, a nie mający sposobności uczenia się ich publicznie, musiał naukę języków brać potajemnie od pewnego w Moskwie bawiącego Niemca i od pewnego Polaka, którzy obaj odwiédzali go przebrani w ubior rossyjski i w zamkniętéj komnacie dawali mu lekcyje.

Takie trudności w korzystaniu ze światła narodów spółczesnych mając Rossyjanie wieku 17go, nie dziw, że tak późno, bo w sto lat dopiéro, zaczęli cywilizować się i ogrzéwać przy piérwszych promieniach narodowéj oświaty. Lecz od tego czasu tak olbrzymie na niwie nauk poczynili postępy, że wkrótce może zechcą się mierzyć z temi nawet narodami, które ich o kilka wieków w naukach wyprzedziły.

Tyle tą razą wyjmując co do treści o Rossyjanach 17go wieku z »Pamiętników Samuela Kazimiérza Maszkiewicza,« w końcu artykułu naszego o nim samym słówko powiémy, wyjmując wiadomość tę z Siarczyńskiego »Obrazu dziejów panowania Zygmunta III.« (Tom I. str. 311. — 312): Samuel Kazimiérz Maszkiewicz był mężnym wojownikiem. Na wyprawie dla poparcia Dymitra miał poczet, którym dowodził. Jako rotmistrz dowod.*: pod Smoleńskiem, ale przed jego zdobyciem z pułkiem księcia Poryckiego r. 1612 wojował pod dowództwem hetmana Żółkiewskiego. A gdy dla zaległego żołdu wojsko zrobiło konfederacyją, Maszkiewicz do tego związku i do liczby burzliwych dowodzców należał. Został w tym związku pułkownikiem, podpisywał rozkazy, rozdawał przystawy i mając wydzieloną sobie ziemię przemyską, a poźniéj miasto Lwów, przez różne uciski dał się mieszkańcom we znaki. A iż był czynny i wymowny, spisek wojskowy mianował go z innymi posłem na sejm r. 1613 do króla i Stanów. Groźnéto było rzeczypospolitéj, dla rozhukanéj swawoli wojska, poselstwo. Nie prosili, lecz rozkazywali prawie rzadowi, zuchwali posłowie. Musiano na wszystko pozwolić, zapłacono żołd zaległy, rozszedł się związek, i Maszkiewicz wstąpił w służbę księcia Krzysztofa Radziwiłła, hetmana pol. Lit. Tento sam Maszkiewicz dziennik czynów tego wojskowego związku i bytności swojéj w Rossyi, opisał i w rękopismie potomności zostawił. J. U. Niemcewicz podał do druku część znaczną tego rękopisma, lecz to, którego do niniejszego użyto artykułu, ile nam wiadomo, nie było jeszcze drukowane. S. L. J.

— Ze Lwowa. —

P. Jakob, Anglik, który z polecenia rządu swojego objeżdżał przed kilką laty kraje polskie, wróciwszy i z postrzeżeń swoich we względzie gospodarstwa naszego zdając sprawę ministeryjum, nadmienił, że Polacy swoich nie mając książek agronomicznych, w cudzych szukają nauki i rady. Czyliż zdanie sprawy jego było ze wszystkiem prawdziwe? Obrabiając od dawna i tę gałąź piśmiennictwa, możemy się także poszczycić kilku ważnémi dziełami w tym względzie, a mianowicie treściwémi i gruntownie pisanémi dziełami naszego agronoma polskiego Kurowskiego, który wydaje właśnie w Warszawie pismo ważne dla gospodarstwa krajowego: »Tygodnik rolniczo-technologiczny.« W tém miejscu należy nam wspomnieć także o Oczapowskim, którego dzieła do liczby dziesięciu dochodzą, o Kasperowskim, o wydawcach Izydy i o tylu innych znanych i czytanych powszechnie autorach, piszących o gospodarstwie krajowém. Do rzędu dzieł, użytecznych w tym zawodzie, należy także poniekąd: **Pan Podstolic** Massalskiego, dzieło wzorowe w swoim rodzaju, jakiego dotąd nie miała literatura nasza, i którém tak słusznie pysznić się może. Powinno dzieło to być podręczném u każdego obywatela w kraju naszym, dla którego gospodarstwo i przemysł krajowy nie są obojętne.

W dziełku: »Jeografija albo dokładne opisanie królestw Galicyi i Lodomeryi,« wydaném w Przemyślu r. 1786, czytamy na stronie 25téj, że w kościele oo. karmelitów bosych w Wiśniczu, znajdowały się prawdziwie drogie obrazy, fundacyi Lubomirskich, które poźniéj dostały się do sławnéj galeryi obrazów w Wiédniu. Godziłoby się, aby ktoś z naszych rodaków, bawiących w Wiédniu, zajął się odkryciem i opisaniem wspomnionych obrazów.

Mistrzowsko trafiony obraz naszego teraz panującego Cesarza i Króla, Ferdynanda I., w ornacie złotego runa, wyszedł u Artaryi w Wiedniu. Rytowany jest na miedzi przez Steinmüllera, podług obrazu Roberta Theer. Imiona obu artystów ręczą za dokładność roboty.

Rudolf Bärenhart, rzeźbiarz wiedeński, wsławił się w tych czasach wyrobieniem kolosalnej i mistrzowskiéj grupy »Aryadny,« która dotąd wystawioną jest w Wiédniu na widok publiczny. Znawcy chwalą w niéj nadzwyczajny talent i jenijalność artysty. Opiekunowie sztuk pięknych wyprawili Bärenharta do Mnichowa, gdzie kosztem ich przebywać i w najlepszych szkołach w swéj sztuce doskonalić się będzie. Austryja zyska w nim z czasem znakomitego rzeźbiarza.

Uważano w Wiédniu, że w dniu, w którym ogłoszono, iż choroba Cesarza zaczyna być niebezpieczną, przypadło ciągnienie loteryi liczbowéj, i wyciągnięto Nr 12, a Cesarz urodził się 12. lutego, Nr 18, a dnia 18. paździer. była sławna bitwa pod Lipskiem, Nr 67, a tyleż lat żył Cesarz, i Numer 43, a tyleż lat panował Cesarz!

W drukarni mechitarystów w Wiédniu znajduje się pod prasą i wyjdzie wkrótce w języku niemieckim dzieło Sławian obchodzące, pod tytułem: »Obraz etnograficzny sławiańskiéj Granicy Wojskowéj, albo obszérne opisanie położenia, stanu i konstytucyi politycznéj kraju tego, także sposobu życia, obyczajów i zwyczajów, ukształcenia umysłowego, tudzież charakteru mieszkańców, z dodaniem rozprawy o poezyi gminnej Serbów. Autorem dzieła tego jest Spirydyjon Jowicz.

Z Poznania. Księgarnia E. S. Mittlera w Poznaniu, Berlinie i Bydgoszczy ogłosiła przedpłatę na: »**Polsko-niemiecki Słownik do podręcznego użycia dla Niemców i Polaków.** Z dodatkiem, zawiérającym spis form nieregularnych. Nowo wypracowany przez J. K. Trojańskiego, doktora filozofii i profesora w Krakowie.« Autor znany już jest z wielu prac literackich, a między innémi z »Gramatyki niemieckiéj dla Polaków,« która reskryptem kr. pruskiego ministeryjum oświecenia publicznego z dnia 2. sierpnia r. 1833 polecona została do użycia w W. Księztwie Poznańskiém. Słownik ten wychodzić będzie zeszytami, z których piérwszy ma wyjść z początkiem kwietnia r. 1835. — W roku bieżącym wychodzi daléj, dotąd w Lesznie wydawane pismo czasowe, z rycinami: »Przyjaciel ludu, czyli Tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości.« Pismo to, wydawane nakładem i drukiem Ern. Günthera, a pod redakcyją pana Ciechańskiego, przyrzeka i nadal iść tym samym torem, który sobie w prospekcie zakreśliło, a którym dotąd tak chwalebnie i gorliwie postępowało. Rzeczy bliżéj czytelników obchodzące zawsze w tém piśmie piérwszeństwo przed innémi artykułami miéć będą.

Z Lipska. »Biblijoteki kieszonkowéj klasyków polskich,« wydawanéj tutéj u Breitkopfa i Härtla przez J. N. Bobrowicza, wyszedł tomik IV. i V., i zawiera **Ign. Krasickiego dzieła prozaiczne. W t. IV.**

mieszczony: »Pan Podstoli;« w tom. V. znajduje się: »Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki;« »Historyja na dwie księgi podzielona:« »Listy o ogrodach.«

Pismo: »Biblijoteka rossyjska,« wydawane za pomocą najsławniejszych autorów rossyjskich przez zasłużonego księgarza petersburskiego Smirdyna, taką sobie zjednało sławę, że po wyjściu pierwszego tomu, rozebrano natychmiast 3,000 egzemplarzy i musiano tom ten raz jeszcze przedrukować.

W gabinecie historyi naturalnéj w Petersburgu, nie daleko giełdy nad Newą, pokazują między innémi osobliwościami także wypchanych: hajduka, konia i psa Piotra Wielkiego, podobnież koszulę za szkłem przechowywaną, w któréj monarcha ten był chrzczony. Na brzegach Newy przechowują również drewnianą chatkę i czółno, zbudowane własnémi rękoma Piotra W. W owéj pośród moczar wystawionéj chatce układał ten monarcha plany do przyszłéj stolicy, a pływając w swém czółnie po Newie patrzał na wzrost Petersburga, tego olbrzymiego dzieła swojego. Jak wielki kontrast zachodzi teraz między tą chatką drewnianą, a paradnémi gmachami, panującémi nad rzeką, między tą łódką słabą, a ogromnémi statkami, które dumnie z rozwiniętemi żaglami po Newie pływają. Patrząc na tę przemianę jakiemże uczczeniem nie jesteśmy przejęci dla tego olbrzymiego ducha, który te cuda z niczego prawie utworzył!

Godnym uwagi jest porządek śmiertelności, zastosowany do środkowéj Europy i wyjęty z dzieła Hoffmanna: *Die Erde und ihre Bewohner*: Podług tego z milijona ludzi żyje po upływie jednego roku jeszcze 767,525, po 10 latach jeszcze 551,122, po 20 latach 502,216, po 30 latach 438,183, po 40 latach 369,404, po 50 latach 297,070, po 60 latach 233,567, po 70 latach 117,656, po 80 latach 34,705, po 90 latach 3830, po 100 latach 207, po 109 latach zaledwo jeden tylko.

Sztuka Kotzebuego »Niezgodni bracia,« grana w Genewie w przekładzie francuzkim, pod nazwą: *La reconcilation*, stała się nie dawno przyczyną, że siostra z bratem pogodziła się, którzy procesowali się z sobą przez lat dziesięć. Zgoda ta dziwnym cokolwiek nastąpiła sposobem. W końcu sztuki zrywa się w parterze z ławki jakaś gruba jéjmość, ciśnie się przez tłum siedzących i stojących przed nią, depcze i roztrąca, nie zważając, że zewsząd oburzano się na to, przystępuje do pewnego starego jegomości, uderza go ręką po ramieniu i mówi: »Masz ty serce, czy nią?« Starzec do żywego jeszcze wzruszony sztuką Kotzebuego, dowodząc, że ma serce, rzucił się w objęcie siostry swojéj, i dziesięcio-letnia kłótnia skończyła się zgodą w teatrze.

Opera *Ines de Castro*, do któréj słowa napisał Bidera, a muzykę Persiani, doznała w Neapolu przyjęcia, jakiego nie ma przykładu; ale też ma być z nadzwyczajnym napisana talentem.

Wiktor Hugo czytał wydziałowi komedyi francuzkiéj d. 28. lutego r. b. swój nowy dramat w czterech aktach, pod tytułem: »Angelo, tyran Padwy.« Przyjęto ten utwor z wielkiemi pochwałami, natychmiast rozdano role, i ma być wystawiony między 5. i 10. kwietnia.

Paweł Lacroix, znany w literaturze francuzkiéj pod imieniem Jakóba Bibliofili, dostał krzyż legii honorowéj, i z tego powodu ustało incognito, którém się w swoich pismienniczych pracach okrywał.

Akademija francuzka mianowała członkiem swoim pana Salvandy, na miejsce zmarłego Arnaulta (ojca).

W *Rue de Bac* i na bulwarze kapucynów w Paryżu, sprzedają teraz wino Noego, które w prostéj linii *(perpendiculairement)* pochodzić ma od owéj macicy winnéj, którą Noe, wysiadając z arki, sam własnémi rękoma na górze Ararat zaszczepił. Za butelkę wina tego płaci się cztéry franki, co jest niezmiernie tanie, zważając na osobliwą starożytność winogradu, z którego to wino ma pochodzić.

Prawdziwy cud techniki uskuteczniono nie dawno w Paryżu; jestto machina, za pomocą któréj można całą drewnianą osadę strzelby w mniéj jak 10 minutach do tego stopnia przyrządzić, że ani jednéj nie braknie śrubki, i strzelba w ten sposób przyrządzona, dostawszy tylko lufę, zaraz używaną być może.

Contre-admirał Keralio de la Brucholiere, zmarły nie dawno we Francyi, zapisał majątek swój, złożony z milijona franków, ministeryjum marynarki, ażeby za tę summę założono szpital majtków w Breście, podług wzoru szpitala angielskiego w Greenwich.

Na oknie pewnego fryzyjera w Londynie czytamy następujące doniesienie: »Tu za pomocą pary fryzują głowy dam, w pierwszym stylu wymowy.«

W Baltimore (w Ameryce północnéj) umarł nie dawno 105 lat mający weteran rewolucyi północno-amerykańskiéj, sierżant Jędrzej Wallace, urodzony w Inverness w Szkocyi r. 1730. Mając lat dwadzieścia dwa przybył do Ameryki i od początku rewolucyi służył przez lat trzydzieści w wojsku Stanów Zjednoczonych. Gdy Lafayette był ranny pod Brandywina, zaniósł go Wallace z bojowiska do domu przyjaciela i tym czynem bez wątpienia ocalił mu życie.

Palenie wdów wraz z zwłokami małżonków, które dzieje się w Indyjach wschodnich, a mianowicie w Bengalii, pochodzi po większéj części od Braminów, którzy nieszczęśliwe ofiary upajając sokiem makowym i innémi mocnémi trunkami, wymuszają na nich w tym stanie nieprzytomności, przyrzeczenie spalenia się na gorejącym stosie.

W Czerkasach jest płeć niewieścia za świętość uważaną, i zabójca, udający się pod opiekę kobiéty, lub mogący ręki jéj dotknąć się ustami, uważany bywa za syna domu i doznaje wszelkiego bezpieczeństwa.

Juarykowie (naród Afryki północnéj) żenią się z kobiétami li podług wagi. Kobieta im więcéj waży, tym jest piękniejszą w ich oczach. Juarykanka ważąca trzy cetnary jest zatém boginią piękności w tym kraju.

Mieszkańcy Nowéj-Zelandyi nie znają wcale całowania. Mężczyzni kraju tego miasto całowania się z kobiétami, dotykają się swojémi nosami ich nosów.

Samojedowie ofiarują dary bożyszczom swoim, jeźli są w modłach swoich wysłuchani; przeciwnie zaś, gdy się ich skryte życzenia nie spełniają, biją bogi swoje i porzucają się niemi, jak starémi rupieciami.

Jaskinia niedzwiedzia. Podróżujący fakir, przybyły z Kaszemiru, opowiadał następujące rzadkie zdarzenie: »W Kaszemirze (mówił) jest bardzo głęboka jaskinia, którą odwiedzałem, i w któréj znalazłem nagą prawie niewiastę. Ujrzawszy ją wątpiłem, czy to jest istota żyjąca, czy tylko mamidło wyobraźni. Przystąpiłem jednak bliżéj i zapytałem się, kto ona jest, a ona odpowiedziała, że jest kobiétą. Z odpowiedzi na moje zapytania, zkąd i jakim sposobem dostała się w to okropne miejsce, dowiedziałem się, że karawana zostawiła ją chorą i bez pomocy w blizkości jaskini, że się to stało przed dziesięcią laty, i że odtąd żyje z niedźwiedziem i całym rodem ludzkim pogardza. Pytałem ją, jakim sposobem dostaje żywność, a ona mówiła, że niedzwiedź przynosi jéj tak przednie owoce, jakich nigdy między ludźmi nie jadła. Chciałem namówić ją do opuszczenia tego okropnego miejsca, ale ona nie chcąc na to przystać, radziła mi, ażebym jak najprędzéj oddalił się od niéj, bo niedzwiedź mógł lada chwila nadejść, a wtedy nie ręczyła, czyby mnie nie rozszarpał.«

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.